

Kronika tygodniowa.

Jeszcze tydzień temu wstecz niejedna Weronika zwracała się do swojego małżonka ze słowami:

— Ja sobie poprostu nie wyobrażam, jak będą wyglądały tegoroczne Święta Wielkanocne bez święconego!.. To poprostu straszne, że się tak samo chcąc zaprzepaszcza najpiękniejsze tradycje narodowe!

— A jednak musimy się z tem pogodzić, skoro inaczej być nie może!.. — odpowiadał pan domu ze spokojem, jakiego nie powstydziliby się nawet i s. p. Dyogenes, należący niegdyś do najbardziej zrównoważonych umysłowo obywateli Grecji.

Tydzień minął od tego czasu, Święta Wielkanocne przysły i przeszły, dziś spoglądając poza siebie, dochodzimy do wniosku, że można się zupełnie spokojnie obejść bez dawnego hucnie obchodzonego święconego, a wyjdzie się na tem dobrze pod każdym względem, przede wszystkim nie ucierpi zaś zdrowie, które w poprzednich latach po świątecznych perypetyach trzeba było już we środę naprawiać Morrissonem, gorzką wodą lub podobnymi smakołykami, pochodzącymi z łacińskiej kuchni.

Obżarstwo i pijaństwo, które w okresie wielkanocnym grzeszyli nasi przodkowie, należało tylko do tradycji, czytając dawne opisy święconego, podziwiamy ich apetyt i pragnienie i mimowoli zadajemy sobie pytanie, ile pieniędzy kosztowałoby to w dzisiejszych warunkach, gdy „lis“, czyli tysiącmarkówka stała się najniższą monetą obiegową. Nie ulega kwestyi, że i w roku bieżącym tu i ówdzie można się było spotkać ze święconem, urządzonem wcale przyzwoicie, przypominającem zupełnie przedwojenne czasy, nie dla każdego jednak dostępne były te progi, w których obcego intruza w wytartym surducie widzi się bardzo niechętnie, choć się go z łaski toleruje, o ile jest na coś potrzebny, bodajby do celów dekoracji, do czego służyli niegdyś generałowie rosyjscy, wynajmowani za pewną opłatą. Paskarz lub lichwiarz, nie potrzebujący się liczyć z groszem i czekać na dodatki drożyzniane lub podwyżki, bo płyną mu one same codziennie i to bardzo szerokim korytem, mógł sobie pozwolić na rzucenie i kilku milionów na cele urządzania święconego, skoro u nas, o ile się ma na to fundusze, można się zaopatrzyć we wszystko, czego dusza, a przede wszystkim żołądek i gardło zapagnie. Natomiast całe mnóstwo rodzin, które przed wojną, a także w pierwszych jej latach, tradycje święconego utrzymywały, choć z coraz większym ograniczeniem, w roku bieżącym widziały się zmuszone do zerwania z niemi. Z dawnych lat pozostało jedynie kropidło i baranek wielkanocny, o ile ten ostatni był z gipsu, a nie z cukru, gdyż w tym drugim wypadku paść musiał ofiarą głodu cukrowego, jaki nam stale dokucza choć magistrat stara się od czasu osłodzić naszą gorzką dolę, a Polska jest krajem rolniczym, produkującym wystarczającą dla ludności ilość tego słodkiego specjału. Ale cukier, podobnie, jak i inne artykuły pierwszej potrzeby, gdzieś za granicę, skąd wzamian otrzymujemy sztuczne nawozy, choć gdyby na miejscu pozostał i rozdzielony został między ludność, może i obeszłoby się bez nich. Od tego jednak mamy Urząd przywozu i wywozu, aby ogałacał nas ze wszystkiego, co stanowi nadmiar, za który u nas uważa się wszystko powyżej zera, wychodząc z założenia, że, skoro możemy się obejść bez innych artykułów, nie wyrządzi nam krzywdy brak tych, na które właśnie zagranicą jest popyt.

Ale samo kropidło i baranek do urządzania święconego nie wystarczą, potrzeba do tego i innych jeszcze rzeczy, stałych i płynnych, stanowiących niegdyś nierozłączną całość, bez której, jak nam się wydawało, nikt się obejść nie potrafił, czy wyobrażał kto sobie Święta Wielkanocne bez święconego jajka, po którym następowały kolejno rozmaitego rodzaju przeżądnie świąteczne delikatesy, zakrapiane obficie dla tem łatwiejszego strawienia czy to wódeczką, winem, piwem lub miodem, nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju słodyczach, w postaci bab, jajeczników, placków, tortów i rozmaitych

innych bałabuchów, stanowiących chlubę gospodyni, choć przez pleć brzydka, jako mniej wrażliwą, przeważnie nie respektowanych. A wszystko to miało się kosztem kilkudziesięciu koron. Najadł się każdy tem i opił jak bąk, nie żałował gościom, nie też dziwnego, że następny wielkanocny był stale bardzo podniosły, u niektórych rozpoczynał się już w Wielką Sobotę po rezurekcyi zamkowej i trwał nieprzerwanie do wtorku wieczór, t. j. do końca Rękawki. Żal za grzechy i pokuta rozpoczynały się we środę, aby się pozbyć zaległości i przygotować godnie na najbliższą niedzielę i poniedziałek, tak zwane „przewodnie“, kiedy to na Kleparzu urządziło się święcone. A dawniej Kleparzanie znani byli szeroko ze swej prawdziwie staropolskiej gościnności, kto nie jadł i nie pił, ile się zmieści, a nawet ponadto, ten był ich wrogiem.

Z biegiem lat malały te staropolskie cnoty coraz bardziej, w roku Pańskim 1923 zeszyły zupełnie do zera, z dawnych lat pozostały jedynie wspomnienia czasów, które prawdopodobnie nigdy już nie wrócą. Ten i ów fundnął sobie wprawdzie jakąś kiełbasinę, ta i owa upichciła jakiegoś gneciucha, znalazło się i tradycyjne jajko święcone, ale wszystkie te specjały chowało się zazdrośnie przed okiem ewentualnych gości, którym się życzyło w duchu, aby sobie poszli dalej jak najprędzej. Choć to był dzień pierwszego kwietnia, czyli „zwodziciela“, ludzie mówili wyjątkowo prawdę, która streszczała się naogół w słowach:

— Takich świąt, jak tegoroczne, nie pamiętam!

— Urzędnikom wypłacono wprawdzie płace za kwiecień już w dniu 28 marca, mieli zatem pieniądze w kieszeni, a co zatem idzie i pewniejsze siebie miny, ale na robienie świątecznych zakupów było już zapóźno, na czem zresztą wyszli o tyle dobrze, że zaoszczędzili trochę monety, a wiadomo, że dziś ogólnie nawołuje się do oszczędzania, a urzędnicy powołani są do tego, aby reszcie społeczeństwa świecić nie tylko dziurawymi łokciami, ale i przykładem. Najżałośniej płakali emeryci i emerytki, gdyż zapowiedziano im wypłatę poborów do piero na dzień 3 i 4 kwietnia, lecz wytłomaczono im, że tutaj rozchodzi się o ich zdrowie, o ile bowiem nie będą mieli pieniędzy przed świątami, nie nie kupią a tem samem żołądka nie obciążą, czyli uchronią się, tylko dzięki pieczołowitości rządu, od niechybnej słabości.

W myśl dawnych tradycji Wielkanocną Niedzielę spędził prawie każdy z nas pod rodzinnym dachem, przy domowym ognisku, gdzie spożył, co Bozia dał, ale narzekał, że to mało, zwłaszcza, że trzeba się było obejść „na sucho“, o ile się jest lojalnym obywatelem i przestrzega ustaw, normujących używanie płynów alkoholowych, bo o wodzie nie myślimy nawet, aby gminy naszej nie narażać na szkodę. Kto miał znajomych na Zwierzyńcu, ten próbował szczęścia, aby się przekonać, czy dobrobyt w gminach przyłączonych jest taki sam, jak w starym Krakowie, mniejszy lub większy. To samo powtórzyło się we wtorek z Podgórzem, gdzie staraniem „Sokoła“ odbyła się tradycyjna Rękawka ze spinaniem się po słupie, w czem jednak inteligencji z powodu niepewnego stanu swej garderoby przeważnie udziału nie brali. Natomiast skakanie we worku miało wśród nich wielu zwolenników. Nauczyło ich tego życie, które dziś nie jest niczem innym, jak skakaniem we worku. Naogół skonstatowano, że tak Zwierzyńczenie, jak i Podgórzanie niczem nie różnią się od Starokrakowian, że staropolska cnota gościnności, z której niegdyś tak byli dumni, należy dziś tylko do wspomnień, gdziekolwiek się bowiem pokazałeś, czekano na ciebie z obiadem, ale należy rozumieć to w ten sposób, że czekano, abyś sobie poszedł, by rodzina mogła swobodnie zabrać się do spożycia darów Bożych.

W najszczęśliwszym stosunkowo położeniu są w okresie świąt ci, którzy należą do licznych naszych stowarzyszeń. Wszystko jedno czy one są naukowe, czy mają kierunek humanitarny, sportowy lub inny. Przyjęło się u nas ogólnie, że w instytucjach tych łączy się przyjemne z pożytecznym, t. j. w tym wypadku święcone dla członków dajmy na to z obchodem imienin prezesa, albo też dwudziestopięciolecia społecznej pracy panny sekretarki. Posyła się w tym celu zawiadomienia, wyznaczając wysokość wkładki, jaką każdy głodny

i spragniony ma uiścić, kalkulując ją w ten sposób, aby była stosunkowo jak najprzystępniejsza i zachęcała członków do tłumnego jawienia się na uroczystym obchodzie. W dzisiejszych warunkach wkładka oznaczona przypuścimy na sześć tysięcy marek, nie jest właściwie wcale wygórowaną, bo niechajby gość wypił tylko jeden kieliszek wódki, przegryzł ją chlebem ze szynką, a potem przepłukał gardło dwiema szklaneczkami piwa, to kredyt już wyzerpany. Ale na takich zebraniach liczy się na to, że większość przybędzie dla idei, a tacy ludzie z wstrętem spoglądają na jadło i napitek, mniejszość zaś dla interesu, by sobie za owe sześć tysięcy pojeść porządnie i gruntośnie popić, skoro trafia się okoliczność, a że przytem muszą wysłuchać całego szeregu przemówień, najczęściej kupy się nie trzymających. Ich to wcale nie boli, puszczają je mimo uszu, gdyż przybyli jeść i pić a nie bawić się w jakieś wzajemne kadzenie sobie lub politykę.

Ci praktyczni ludzie, o których właśnie mowa, korzystają też z każdego podobnego zawiadomienia, ale apetyt ich i pragnienie nie cieszy bynajmniej gospodarzy, oni natomiast sami są ze siebie najzupełniej zadowoleni i, wróciwszy do domu, znajdują w tem pełną satysfakcję, że mogą liczyć, ile tysięcy warto to wszystko, co spoczęło w ich przepastnych żołądkach, nie wspominając już o tem, że ten i ów nie zapomniał także i o swej rodzinie i cośkolwiek przyniósł ze sobą „na próbę“. W tym celu każdy z uczestników takiego zebrania stroi się zwykle w surdut z możliwie najgłębszymi kieszeniami, skromniejsi zadowolniając się zaopatrzeniem się w papierosy na dłuższy przeciąg czasu.

Takich wybrańców było jednak, procentowo licząc (dzisiaj wszystko u nas oblicza się procentowo!), nie wielu, a to z powodu, że nie wszystkie instytucje mogły się zdobyć na urządzenie dla członków święconego, do którego najczęściej trzeba z funduszu towarzystwa pokazać dopłatę. Reszta musiała się zatem obejść smakiem i przez dwa dni Świąt Wielkanocnych rozmyślać o znikomościach tego święta, siedząc przeważnie w domu, bo, wiadomo, spacer wzmaga jeszcze bardziej apetyt i pragnienie, a coraz trudniej je zaspokoić. Niektórzy ze znanych na naszym bruku działaczy, tak dalece odsunęli się w tym czasie od zwykłego zgietku światowego, że pozwolili się zamknąć w murach poklasztornych, zdala od wrzawy wiwatujących lichwiarzy i paskarzy. Święty Michał, były c. k. Patron Galicji roztacza często jeszcze i dzisiaj opiekuńcze swe skrzydła nad narodem, a na pochwałę trzeba mu przyznać, że się nie powoduje względami, ani dla płci, ani dla rasy, ani dla wyznania. Każdy mu miły, kto chce spędzić pewien czas na osobności.

Takich wyjątków jednak nie można uważać za regułę. W jej myśl większość przebywała we własnym domu, a tematem rozmyślań były przeważnie obecne stosunki tak polityczne, jak i ekonomiczne, jedne z drugimi w ścisłym związku pozostające. Jest on tak silny, że gdy pogarszają się stosunki polityczne, idą za nimi w ślad zaraz i ekonomiczne, gdy natomiast pierwsze zaczynają się poprawiać, drugie psują się w dalszym ciągu. Nie brakło także i weselszych tematów do rozmyślań, jak na przykład, skąd się Szwedzi mogli wziąć w Krakowie w trzynastym wieku, jak o tem doniósł jeden z historyków „codziennych“. Nasuwa się przypuszczenie, że owi Szwedzi, bo musieli być nimi, skoro tak historyk twierdzi, przebiegali się za Tatarów i dokuczali naszym pradziadom. Przyrodnik łamał sobie głowę nad tem, jak mógł wyglądać ów sławny przedpotopowy *Skikantylos magnus*, pokryty tarczami kostnymi i najeżony kolcami o długości prawie metra. Z jednej strony żal się robi człowiekowi, gdy pomyśli, że owe cudaczne bestye już w zupełności wyginęły, z drugiej jednak musi im przyznać, że miały rozum, gdyż ładnie wyglądałyby dziś taki olbrzym, gdyby sobie chciał podjeść należycie bodajby raz na dzień przy dzisiejszych cenach targowych.

Te i tym podobne rozmyślenia zabijały czas świąteczny, a ozłacała go nadzieja, że następna Wielkanoc będzie już stanowczo lepsza.

